

Oświęcim. Pamiętnik więźnia.

Wydanie oryginalne

Autor: Halina Kraheńska

Warszawa, kwiecień 1942 roku

Pamiętnik ten napisał młody chłopak, ciężko chory po zwolnieniu z Oświęcimia, blisko rok temu. Impulsem do napisania go, podług świadectwa najbliższych, było przede wszystkim żarliwe powiązanie, ponad życie trwalsze, z pozostawionymi w obozie towarzyszami: w każdym dniu, po wiele razy powracał do nich myślą i zdawało mu się, że szczegółowe opisanie, utrwalenie wszystkich okoliczności obozowego męczeństwa jest obowiązkiem tego, który się wy dostał, jakkolwiek nie miał żyć dłużej.

Z drugiej strony uważał za konieczne przedstawić różnorodny zespół więźniów Oświęcimia prawdziwie, tak jak jest, gdyż sądził, że społeczeństwo wie o tym niewiele, często też przedstawia sobie rzeczy inaczej, niż wyglądają.

Rozstając się z życiem w młodym wieku, umierał w przeświadczeniu, że inni przetrzymają, że właściwa Polakom psychiczna odporność i umiejętność koncentrowania woli zdecyduje na ogół o możliwości zniesienia srogiego męczeństwa.

Wkrótce po napisaniu pamiętnika (praca ta zajęła choremu parę miesięcy) umarł.

I

Matka siedzi przy moim łóżku, w rękach przebiera jakąś robótkę (pewno sama nie wie jaką), ale co chwila patrzy na zegarek na przegubie ręki, by nie przeoczyć pory: lekarstwa albo posiłku. No i patrzy także na mnie... Spogląda raczej, usiłuje tylko spoglądać, bo nie chce mi dokuczyć przedłużonym, uporczywym patrzeniem.

Nie jestem już przecie tam; od tygodni już przebywam w domu; wyleguję się w łóżku, myty, karmiony, hodowany, poddany nieustannym zabiegom lekarskim, zastrzykom, wszelkim środkom ratunkowym. Ale ja sam – od pierwszego dnia – wewnętrznym czuciem wiem, że już nic ze mnie nie będzie, że choć nie skołałem pod uderzeniami pejcem, pod butem, pod cegłą – jednak tu będę musiał umrzeć w czystym łóżku, obok doniczki z cudnym kwiatem, którą przyniosła miła dziewczyna, niezależnie od wszelkich wysiłków lekarskich i rodzicielskich.

Kiedy zaś po kilku dniach pobytu w domu usłyszałem ten wyrok z drugiego pokoju (urywane szepty między lekarzem i rodzicami), postanowiłem od razu, w tamtej chwili, napisać te swoje wspomnienia, napisać, utrwalić najważniejsze dla nas rzeczy, choćby to miało kosztować jak najwięcej wysiłku. Od tego też dnia prawie nic już nie opowiadam, nie chcę się wyczerpywać, piszę, piszę, musi mi starczyć na to sił.

Kiedy następnego dnia po owej zasłyszanej rozmowie zażądałem zeszytu i ołówka, matka spłoszyła się, zaniepokoiła, pochwyciła mnie za obie ręce:

— Synu! Po co teraz?... Dlaczego tak się osłabiać?... To nie na twoje dzisiejsze nerwy!... Doktor kazał ci się oszczędzać...

Nie zdradziłem się, zem słyszał, co mówił doktor. Bałem się, że jeśli się zdradzę, otoczą mnie opieką i to taką, iż mój zamiar napisania tych wspomnień spełźnie na niczym. Udałem więc dobre samopoczucie za

pomocą uśmiechu i spojrzenia i prosiłem, żeby matka zechciała mi dogodzić: to właśnie mnie uspokoi, jak będę się mógł wypisać, wydać z siebie to wszystko, co musiałem tam wchłonąć. Matka dała się przekonać i odtąd, gdy kto inny zastanie mnie z zeszytem na kolanach – pomaga uchylić temat z rozmowy, zbagatelizować...

— Zachciało mu się... — mówi. — Opowiadanie męczy go... Bazgrze sobie... Chce coś niecoś zanotować, przemyśleć...

Posyłam jej wtedy wdzięczne spojrzenie, a ona odpowiada mi spoza osłony swych binokli krótkowidza pokrzepiającym, solidarnym, koleżeńskim wzrokiem wiernego współnika i sprzymierzeńca. Gdy jednak zostajemy sami i ja piszę (piszę, niekiedy zgrzytając zębami, wzdychając, jęcząc z niemocy) – biedaczka niepokoi się bardzo, że spisek ten ze mną uknuła, że mi na to pozwala, że pogarsza, być może, mój stan...? Dlatego też oczy jej – wyblakłe za szklami binokli – co chwila odrywają się od robótki i zegarka i podkradają się do mnie, cofają, płoszą i znów czują je na sobie...

Zresztą od kiedy postanowiłem pisać ten pamiętnik, zgadzam się jeść wszystko, co mi dają, a to przecież podtrzyma przez jakiś czas moje siły. Na tym więc serce matczyne coś zyska. Bo z jedzeniem – w pierwszych dniach – było to dla matki wielkie utrapienie i męczeństwo. Nie mogłem – nie ja pierwszy zapewne, nie ja ostatni!... nie mogłem jeść, przełknąć nic poza tym, co tam jedzą oni, moi, oświęcimiaczy...

Wypuszczono nas dwudziestu trzech, ale gdyśmy szli przez dworzec warszawski i potem żegnali się na ulicy – już wtedy stało się jasne: owszem, zwolniono nas, te nędzne, potłuczone, poranione szkielety, kościotrupy, poruszane jeszcze jakimś dziwnym wewnętrznym życiowym uporem... Ale wewnątrz nasze, to, co nazywa człowiek duszą, nasze dążenia, nasze tęsknoty, to jakoś nie od razu poszło z nami, pozostało uwięzione tam, w obrębie Oświęcimia. Jeden ze zwolnionych, zupełnie młody człowiek, który przez długie miesiące tęsknił tam do swej narzeczonej, od razu ujął teraz tę naszą przemianę we właściwe słowa: „Dla nas to wszystko jedno, wypuścili czy nie... Niewielu z nas zechce, potrafi się oderwać!... Ja przynajmniej – to już chyba pozostanę tam z nimi... Większa część mnie została tam uwięziona...” i uśmiechnął się przy tym do nas porozumiewawczym, tęsknym uśmiechem. Wszyscy milczeli, odezwał

się tylko jeden, równie młody chłopak, stosunkowo mało wyniszczony, bo go prędko wydestała z obozu rodzina. I ten ku naszemu zdumieniu powiedział: „Nie będę świnią, żebym żarł i zapomniał, co tam z nimi się wyprawia...”. Ja na to nie powiedziałem nic. Wydało mi się nawet w pierwszej chwili, że to przesada.

Ten zresztą chłopak od pierwszej wiadomości o zwolnieniu miał jaskrawą bardzo reakcję. To znaczy powstało w nim jakieś szczególne uczulenie w stosunku do pozostawionych w obozie kolegów. Więc np. wypuszczając nas – dali nam do rąk spore paczki na drogę. Zajrzeliśmy do nich, jak tylko wyszliśmy z obozu. Było w nich po kilka grubych kawałków chleba, posmarowanych masłem i obłożonych wędliną. Nadto opakowanie było pergaminowe! Otóż ten nasz kolega odrzucił od razu paczkę z pogardą i wściekłością: nie chciał jej!

Oczywiście jeden ze zwolnionych podniósł ją i dziw, że o to nie było bójki: przecie ludzie byli tak wygłodzeni...

*

Ale gdym wszedł do mieszkania rodziców, uprzytomniłem sobie w najdziwniejszych okolicznościach całą prawdę tamtych słów. Ojciec był jeszcze w domu; gdy wchodziłem do pokoju jadalnego, siedział jeszcze zadumany nad kawą. Podniósł oczy, odepchnął się oburącz od stołu, porwał na nogi, wyprężył jak długi i padł na wznak. Zemdlał, jak się później okazało. Matka, słysząc łoskot, wybiegła ze swego pokoju, z nieprzytomnym krzykiem rzuciła się ku mnie, ścisnęła, całowała, płacząc nieprzerywanym szczęśliwym i strasznym szlochem. Potem rzuciła się, aby podnosić ojca i zawołała o moją pomoc. Ale ja stałem jak słup, bo nad miejscem, gdzie upadł ojciec, wielki zegar wskazywał właśnie po siódmej... Wyprowadzano więc ich już tam do pracy!... Ustawiali się właśnie w szeregi... Moi z szeregu mieli tam lukę, może przez zapomnienie poszukali mnie łokciami? Byłem tam, byłem z nimi! To było ponad moje siły... Nie było mnie tutaj!

To samo stało się w południe. Leżałem już w łóżku, wymyty, wyczyszczony, oczekując na posiłek. Matka rozmawiała już telefonicznie z

doktorem i słyszałem, jak przyjmowała jego dyspozycje: „Rozumiem... Rozumiem... Najłżejsze, najstrawniejsze... Wygłodzony...”.

Zdawało mi się nawet, że będę jadł z wielką przyjemnością. A tymczasem kiedy matka weszła, wnosząc na tacce talerz jakiejś pysznej domowej zupy czy kaszy na rosole, doświadczyłem nagle wewnętrznego sprzeciwu, oporu o dzikim, niesamowitym napięciu... Poprzez parowanie doskonale przyrządzonego pożywienia dojrzałem jak żywe ich postacie: tam, wokół kubłów, ze swymi menażkami. Tak, jakbym stał z nimi, jakbym wyciągał też swoją menażkę... Zobaczyłem wyraźnie smutne spojrzenie przyjaciela, który umarł w wigilię mego odejścia i który ostatni swój obiad powitał słowami: „No tak... Znów takie, że się to da opłukać zimną wodą...”.

Tu zaś, w moim talerzu złożyły się liczne, delikatne, świecące kółka...

Pot wystąpił mi na skronie, oddałem matce tackę z nietkniętą strawą... Oczy matki za szklami zmętniały, zwilgotniały; drgnęły usta...

— Dlaczego, synuś? To dobre! Przecież musisz powrócić do sił!

Siedziałem w łóżku daleki, zimny, obcy, nieprzystępny.

— Za dobre... — powiedziałem bezlitośnie.

Matka jęknęła bez słowa, jakoś niby potknęła się i usiadła w głębi pokoju. Wszedł ojciec, który po zemdleńiu leżał w sąsiednim na otomanie. Pochylił się nade mną i z oczu jego płynęło ku mnie tyleż radości, że ocalałem, ile rozpaczy. Położył dłoń na mojej ostrzyżonej głowie i powiedział, odchrząkując, łamiącym się głosem:

— Jeżeli nie zechcesz się odżywiać, będziesz musiał umrzeć. Czy chcesz... dokańczyć naród za Niemców...? To może nie miała cię matka oczyszczać ze wszy?

Zamknąłem oczy, bardzo zmęczony. Słyszałem, że matka szepnęła: „Zostaw go”.

I dopiero zacząłem odżywiać się, gdy postanowiłem pisać.

II

Więc naprzód muszę powiedzieć kilka słów o sobie, by wiadano, za co się trafia do Oświęcimia. Nie jestem literatem, nie robię literatury, więc może będzie to wszystko źle napisane. Trudno. Ale będzie szczere. Nie byłem żadnym ważnym działaczem, politykiem, w ogóle „żadnym”. Przed wojną byłem rok na uniwersytecie i skończyłem podchorążówkę piechoty ze stopniem kaprała, w tym też charakterze brałem udział w kampanii wrześniowej. Teraz to już obojętne. Potem zostałem w kraju. Cała grupa bliższych kolegów zastanawiała się nad wyjściem do naszego wojska, zagranicę, do Francji i zrealizowała ten zamiar. Byłem też za tym, ale nie umiałem pokonać oporu, próśb, błagań rodziców. Zdawało im się, że nieodwołalnie mnie stracą, jeśli wyjdę. Nie zdawali sobie sprawy, że łatwiej – najmarniej w świecie – szczeni tu, w obozie. Nie uczestniczyłem w żadnej robocie podziemnej (mam na myśli jakąś planową i stałą aktywność), bo my dwudziesto-, dwudziestoparoletni wydawaliśmy się – sami sobie – całkiem do takiej akcji nieprzygotowani. Urodziliśmy się w Polsce wolnej, przywykliśmy do jawności życia w równej mierze, jak do codziennego ubierania się, jedzenia itd. Oczywiście, że się miewało w rękę pisemka, czytywało i oddało dalej komunikat, ale była to tylko sporadyczna, przypadkowa łączność ze światem podziemnym, żadna polityczna działalność.

Zostałem wzięty podczas jednej z ulicznych łapanek letnich roku 1940. W kilkadziesiąt godzin po złapaniu wywieziono nas do Oświęcimia. Niedługo przedtem „uruchomiono” ten obóz.

Już w czasie siedzenia w warszawskich koszarach (w oczekiwaniu na wyjazd) – a raczej: leżenia, bo kazano nam leżeć na podłodze, wstawać nie było wolno, tylko na rozkaz – dowiedziałem się, że ogromna większość aresztowanych byli to tak samo ludzie przygodni, przypadkowi, tzw. „szary człowiek” z ulicy, no bo taka była ta metoda zgarniania. Właśnie dlatego, że

byliśmy tą „zbieraniną”, warto chyba powiedzieć, że „zbieranina” potrafiła się znakomicie zachować. Proszę sobie wyobrazić parę tysięcy osób wrzuconych do wielkiej hali, którym kazano położyć się i leżeć na podłodze, jeden przy drugim, bez ruchu. Gdy ktoś musiał wstać dla załatwienia swej potrzeby naturalnej, unosił się na łokciach, ostrożnie wysuwał rękę, w ten sposób powiadamiając wartownika, że prosi o pozwolenie przejścia do ubikacji. W pierwszej godzinie, gdy próśb było od razu dużo, gdy ruchy były jeszcze mniej ostrożne i mniej wyuczone, ludzie z miejsca dostawali po palcach butem, bagnetem, gdy tylko byli blisko brzegu i dopiero po czasie pozwalano im wyjść. Na wzniesieniu, znajdującym się w końcu wielkiej hali, siedział żołnierz z karabinem maszynowym i w ciągu pierwszej godziny zabawiał się nastawianiem, kierowaniem karabinu na różne odcinki ludzkiej leżącej ciżby, przy czym stroił różne miny – to groźne, to ucieszne. Potem znudziło mu się i siedział już spokojnie. Ale bicie, uderzenia w twarz, kopniaki trwały stale, gdyż przechadzający się dokoła nas wartujący żołnierze niemieccy (była to, zdaje się, policja), uważali to widocznie za niezbędną czynność wychowawczą. I jakże zachowywali się ludzie, Polacy? Zupełnie spokojnie! Nawet w najcięższym okresie pierwszych kilku godzin, kiedy jeszcze warta nie ułożyła sobie żadnego porządku postępowania z tą masą aresztowanych, nie słyszałem ani jednego płaczu, ani jednej poniżającej prośby, żadnego skamlania, nie widziałem żadnego płaszczenia się. Była prawie cisza, bardzo ponura – odczuwało się ogromne ludzkie przygnębienie, byliśmy przygotowani na najgorsze, bo czegoż mogliśmy się spodziewać? Oczywiście fragmenty przyciszonych rozmów, jakie doszły moich uszu, brzmiały tragicznie: ludzie chcieli żyć, mieli w domu żony, małe dzieci, starych rodziców... Ale szept tragiczny i ponury, skłopotane westchnienia, zaciśnięte koło twarzy dłonie – i to było wszystko, cały wyraz zewnętrzny. Zwracanie się do Niemców – owszem było: jednostkowe – z prośbą o wyjaśnienie, o sprawdzenie dokumentów. W pobliżu leżał jakiś oficer, zwolniony z oflagu wskutek ciężkiego inwalidztwa: miał częściowy bezwład nóg. Zgarnęli go z jakiegoś mieszkania czy lokalu, nie bacząc na urzędowe niemieckie świadectwo zwolnienia; sądził jednak – tak mówił do nas – że przecież musi to być dla nich miarodajne. Kilka razy, uprzednio prosząc o pozwolenie wstania, usiłował przedstawić to swoje świadectwo warcie, a choć za każdym razem dostawał po głowie lub po rękę i nic nie wskórał, ponawiał swoją prośbę. Być może, że na tę masę ludzi działał

widok karabinu maszynowego i groźba natychmiastowej śmierci (choć spodziewaliśmy się jej wszyscy); może lęk przed biciem – ale faktem jest, że nie miały miejsca żadne zbiorowe wołania czy błagania o litość, jęki ani szlochy. Uczucie beznadziejności, jakie musiało opanować wszystkich w tych warunkach, wyładowywało się w skąpych, powściągliwych, ponurych słowach: „No, to już po nas!... Jak już tak, to nikt nas stąd nie wydobędzie!... Trzeba ginąć...” itp.

Ale to przecież było pierwsze, krótkie kilkadziesiąt godzin!

III

Oświęcim. Tak trudno jest słowami – leżąc w ciepłym łóżku! – dać pojęcie o tym, czym jest Oświęcim. Pocieszam się, że przecież wyżyje jeszcze i wyjdzie część oświęcimiaków, silniejszych ode mnie i takich, którzy potrafią lepiej wykonać ten nasz obowiązek: odtworzenia dla Polski, dla przyszłych naszych pokoleń, dla polskich dzieci – tego miejsca bezprzykładnego polskiego męczeństwa. Więc moje pisanie – to dopiero początek...

Tak właśnie z góry rozgrzeszam siebie, jeśli nie potrafię oddać tu całej grozy Oświęcimia. Jestem zbyt wymęczony... Wysiedziałem tam jedenaście miesięcy...

Pierwsze wrażenie: wjazd do obozu. Pociąg, którym jechaliśmy, podjechał wprost do obozu. (Potem, w innych wypadkach, pociągi zatrzymywały się niekiedy o 2–3 kilometry od tego miejsca i dalej pędzono więźniów na piechotę). Nasz pociąg stał dłużej w Skierniewicach i tam kilku więźniów próbowało uciec. Wszystkich zabito, ale trupy wciągnięto do wagonu i potem pierwsze wyrzucono na teren obozu. Ci więc otwierali niejako nasz wstęp. Nas, żywych, wypędzano, wyrzucano z wagonów i towarzyszył temu dziki wrzask straży obozowej i naszej eskorty. Starych ludzi, chorych, niedołącznych, bo i takich nie brakło, poganiano kopniakami; gdy zaś nie dość szybko zwijali się, szczuto psami.

Ustawieni w szeregi musieliśmy stać na placu w ciągu sześciu godzin bez ruchu, oczekując na przyjęcie nas do obozu. SS-mani spacerowali wkoło nas, wrywali z szeregów twarze, które się im nie podobały, zrzucali binokle z nosów, kopali nogami, tłukli kijem i gumą... Było nas na placu przybyłych około dwóch tysięcy...

Podczas tych godzin, ciągnących się w nieskończoność, działy się różne rzeczy. Miał do nas przemówienie komendant obozu: ostre, chłoszczące,

nienawistne. Tłumaczono nam je. A więc – że zawiniliśmy, nie jesteśmy wychowani dla zbiorowości – tu dopiero przejdziemy należyte przeszkolenie. Uświadomił nas, że dalszy nasz los zależy tylko od nas samych. Obowiązuje bezwzględna karność, ślepe posłuszeństwo, pracowitość, uczciwość, porządek i czystość. Najdrobniejsze uchybienie nie będzie tolerowane, zapoznamy się z karami, na jakie sobie zasłużymy. To mniej więcej była treść przemówienia komendanta. Poza tym straż obozowa zabawiała się, jak umiała, zależnie od usposobienia i temperamentu: więc strzelali dla postrachu w powietrze, wywoływali z szeregów Żydów i jeśli który się wysunął, pastwili się nad nim; udzielali też szczególnej uwagi księżom, nakazując im robić błazeńskie przysiady, tańczyć, ubierać dziwaczne papierowe czapy itp. Strzeliła też straż kilka razy do starych więźniów, którzy zbliżali się do nas i prosili nas o chleb. Jednego z tych więźniów złapali i przed naszym frontem – gwoli pouczenia nas – dali mu 50 bykowców (czyli uderzeń pejcem).

Dopiero po wyczerpaniu tych wszystkich pomysłów nastąpiło wreszcie właściwe przyjęcie do obozu: rejestracja, oddawanie własnych rzeczy, strzyżenie włosów na głowie i całym ciele, prysznic i przebranie się w obozową bieliznę i odzież.

W tej drodze do obozu, w sposobie traktowania nas, bezbronnych ludzi, w konsekwentnym, bestialskim sadyzmie Niemców – znajduje pełen wyraz ta głębia moralnego upadku, do jakiej doprowadził ten naród duch prusko-hitlerowski. Od wielu dziesiątek lat przecież, a przez ostatnie lata z pianą na ustach, w jakimś opętaniczym szale wmawiano w tych Niemców, że są pierwszym narodem świata, że od ich szczęścia i dobrobytu zależy przyszłość całego świata, że muszą nad tym światem zapanować, że żaden inny naród nie może się do nich równać, że – dążąc do potęgi – mają prawo kroczyć po zgliszczach miast, po trupach ludności innych krajów... Wiemy, że nie Hitler, tylko Bismarck pierwszy wpajał to w świadomość niemieckiego narodu. Nie żaden podoficer, tylko wielki filozof niemiecki Fichte wołał na swych odczytach: „Jeśli Niemcy nie będą wolne i potężne, zginie świat, bo przyszłość świata od nas zależy!”. No, ale Hitlerowi trzeba pozostawić pełnię zasługi (czytaj: zbrodni) zupełnego złamania kośćca moralnego w najszerszych kołach Niemców, kompletnego zdruzgotania wszelkich hamulców moralnych, najdzikszego, cynicznego wyzwolenia

zbrodniczych, zwierzęcych, sadystycznych instynktów... Nie mam tu na myśli Gestapo i SS, które można było rekrutować pośród kryminalistów, zbójów, złodziei i złoczyńców – i zresztą instytucje te podobno zasłużyły sobie na skrajną nienawiść swych własnych rodaków! Ale czym innym, jak zupełnym zdzczeniem, zezwierżeniem da się wytłumaczyć fakt, że pierwszy lepszy w mundur odziany Niemiec, żołnierz, policjant czy kolejarz okazuje się zdolnym do tratowania butami, zatłukiwania na śmierć bezbronnych ludzi, często kobiet, starych kobiet, dzieci... za potrącenie na ulicy, odwrócenie się, nie dość skwapliwą odpowiedź itp.? Nasi polscy sympatycy państwa totalitarnego (przed wojną) nieraz zachwycali się hitlerowskim dorobkiem wychowawczym! Może teraz rzeczywistość ponurej okupacji z tą całą gangreną, jaka się w Niemczech ujawnia, otworzyła oczy tym zaślepionym ludziom!

Sama nazwa internowanych – „Schutzhäftling” – oznacza, że są to ludzie pozbawieni wolności w trybie ochronnym, zapobiegawczym, izolowani, by nie popełnili przestępstw! Większości nie tylko nie udowodniono popełnionego przestępstwa, ale ze sposobów aresztowania wynika, że większość nie bywa ani przesłuchiwana, ani badana. Wśród internowanych przeważa wiek „męski” – pomiędzy 25 a 45 laty, ale nie brak starców ponad lat 60 i chłopców nieletnich.

Dla tych ostatnich (poniżej osiemnastu lat) jest odrębny blok i mają tam oni podobno nieco odmienne, lepsze warunki: parę godzin „nauki” czy też szkolenia w duchu hitlerowskim, nauczanie języka niemieckiego, mniej pracy i nie ma bardzo ciężkiej, za to zamęczają „gimnastyką”. Początkowo obiecywano im po krótkim pobycie w obozie wyjazd do Rzeszy, do fabryk i gospodarstw, później o tym zamilkło. Zresztą o bloku młodocianych brak szczegółów i brak wszelkiego z nimi kontaktu.

*

Najstraszniejszy jest okres „rekrucki”, czyli tzw. kwarantanna. Bo w tym okresie obozowa straż „przysposabia” nas do obozowego życia, przyucza do naszych obowiązków i do swych wymagań; my zaś jeszcze nic nie wiemy, nie umiemy poruszać się w ramach tego „ładu”, nie potrafimy przewidzieć nic, zapobiec ani się zabezpieczyć. Jesteśmy w tym okresie tak straszliwie bezradni, bo brak nam tego obozowego doświadczenia, które

później – choć życie nie przestaje być męką – pozwala jednak na jakie takie „ochronne” przystosowanie, na wymijanie się z niektórymi przynajmniej konfliktami, starciami, pewną ilością ciosów – a więc jednak cokolwiek nas oszczędza. Poza tym w okresie kwarantanny świeżość doznawanych wrażeń jest tak straszliwa, wrażenia te zaś są tak nieludzkie, że się prawie nie wychodzi ze stanu oszołomienia, półprzytomności.

No i twarze! Twarze internowanych, współtowarzyszy! Po miesiącach oko się już przyzwyczai; innych twarzy się nie widzi; dużo umyka już szczegółów naszej uwadze. Ale w pierwszych dniach! Te oczy, oczy więźniów! Zamagazynowano w nich cierpienie: codzienne, nieprzerwane, niewygasające. U niektórych – spłoszenie, lęk, niby jakaś ciągła drgawka: to słabi, mniej odporni. U innych – prócz cierpienia – zaciętość: wytrzymać, nie dać się. Ale każda twarz jest napiętnowana; taka, jakiej się w życiu nie spotyka. Inne ludzkie twarze. A do siebie – podobne! W pierwszych tygodniach, ja na przykład, nie umiałem rozróżnić, rozpoznawać ludzi. Mieszali mi się ze sobą, jakoś łączyli, zdawali się bezosobowi. Nawet Jacka, z którym dzieliłem siennik i bardzo się zaprzyjaźniłem, potrafiłem po dwu tygodniach jeszcze zagabnąć niby kogo innego, obcego. Zdarzyło się tak raz i dwa, aż za trzecim razem – było to podczas wydawania obiadu – Jacek przytrzymał mnie za przegub ręki i powiedział ostro: „Ty! Żebyś uważał na siebie, brachu!... Nie chcesz być fijoł (wariatem)? Bo z tym twoim myleniem ludzi, to niedobrze!... To nerwy, bierz się w garść!”. Ale Jacek to był bardzo mocny chłopak, odporna, zdrowa natura. Nie żyje już dawno, zabili go. Zginął mniej więcej w kwartał po moim (i własnym) przybyciu.

Powracam do okresu kwarantanny. Bicie! Mój Boże! Bicie nieustające, w każdej chwili, powszechne, wszystkich i każdego. To oczywiście było najstraszniejsze, nowe, dzikie. I potem w dalszych miesiącach bicie nie znikало ani na jeden dzień. Biła straż niemiecka, bili „kapowie” i Niemcy i nie-Niemcy, bijali, ciężko bijali, starsi sztub i bloków, o wstydzie, czasem – Polacy. Ale po pewnym czasie każdy z nas potrafił już rozpoznać się w pewnych sekretach, odmianach, prawach tego bestialskiego obtłukiwania ludzi. Rozpoznawaliśmy i znaliśmy już bijących. Wiedzieliśmy, który z nich jak bije – trzeba powiedzieć – jak lubi bić; kiedy bije, z jakiego powodu, w jakich okolicznościach itp. Bicie więźniów układało się już

jakby w jakieś ramy; coś bywało do przewidzenia, jeśli nie zdarzyły się nowe, nieprzewidziane okoliczności. Podczas gdy w okresie rekruckim wszystko to razem zlewało się w jakąś potworną ciągłość bicia, chlastania po policzkach, kopania butami i czułem się bity bodaj wtedy też, kiedy mój policzek nie został jednak zaczepiony... Bity, bo tuż obok mnie, albo przez jednego – chlastano kogoś po twarzy... Bity, bo każdej sekundy mogło mnie to spotkać i w istocie często spotykało... Zdawało mi się nawet, że wpadam pod tym względem w histerię i spytałem Jacka – dla samej kontroli – czy w nim aby też się tak odzywa to bicie innych, obok, w naszej obecności. Nawiązując do jego uwag, powiedziałem, że nie chciałbym tu zwariować. Rozmawialiśmy późno wieczorem, w tych skąpych krótkich chwilach, kiedy mogliśmy być sami: po zamknięciu nas na noc. Większość naszych kolegów spała już kamiennym snem.

Jacek usiadł na sienniku, temat ten go poruszył.

— Nie, to nie fijoł (to nie obłąd) — odparł żywo. — Faktycznie tak jest. Ja na przykład, jak wczoraj temu starszemu tak nawalili po twarzy, z obydwu stron, po kilka razy, to wiesz, co czułem? Tak jakoś musiałem zacisnąć szczęki, że potem, czuję: nie mogę rozewrzeć! Jakiś skurcz! I tak jakby skuło mi to lodem, mrozem zwarło! A przecie biedak stary daleko stał od nas i nie widać było, żeby Niemiec chciał dalej po wszystkich nas iść!... To więc było właśnie to, co ty mówisz!

Rozmawiałem też potem z innymi kolegami o okresie „rekruckim”; ogólny pogląd na szczególną udrękę tego okresu streszczał się zawsze do tych samych myśli: „Nic nie wiadomo i bez przerwy bicie!!!”.

Poza tym jeszcze inna dotkliwa udręka. W okresie kwarantanny nie chodzimy do pracy. A tymczasem – jest to właśnie okres, w którym się chce osiągnąć „ułożenie” nas we właściwej obozowej formie. Toteż tu doznajemy w pełnym zakresie klasycznej męczarni obozów koncentracyjnych, tzw. ćwiczeń gimnastycznych. (W innych okresach, gdy brak pracy, SS lubi stosować również gimnastyczne ćwiczenia). Jest to rzecz niebywale męcząca i udręczająca, ze względu na liczbę tych ćwiczeń, mnogość godzin im oddawanych i tempo ruchów. Jest to więc niekończące się: „padnij-powstań!”; tzw. „żabka”, czyli skakanie w przysiadzie, taczanie

się po ziemi, chodzenie w kółko itp. Oczywiście każdy ruch mniej zwinny i mniej zręczny powoduje bicie i katowanie.

Ludzie często umierali nocami. Właściwie było to zjawisko tak codzienne, że utarło się już stereotypowe pytanie SS-manów przy wejściu: „Ilu zmarłych?”.

Przecież w obozie umierało co dnia 10, 20 i więcej ludzi, nie licząc wypadków, gdy po karnych apelach na mrozie umierało w nocy i następnego dnia 40, 60 i więcej.

*

Wgłębiłem się już w szczegóły obozowego życia, zapominając, że trzeba naprzód dać pojęcie o tym, jak wygląda obóz w Oświęcimiu. Jest on wzorowany na dawniejszych, wielkich niemieckich obozach koncentracyjnych, jakkolwiek budynki nie były tu specjalnie budowane, tylko wykorzystano koszary wojskowe (dawne austriackie), składające się z kilku murowanych piętrowych budynków. Rozległy teren ogrodzono wysokimi ogrodzeniami z drutu kolczastego, nad którym przechodzi drut przewodzący prąd elektryczny o wysokim napięciu. Za ogrodzeniami wznoszą się drewniane wieżyczki z ustawionymi na nich karabinami maszynowymi i obsadą żołnierską. W nocy warta obowiązująca jest do nieustannego czuwania nad terenem obozu i jego okolic za pomocą reflektorów świetlnych, „macających” ziemię, celem udaremnienia wszelkiej próby ucieczki. W założeniu obóz musi stanowić całość w sobie zamkniętą. Prócz pomieszczeń dla internowanych, znajdują się tu mieszkania dla straży (SS-manów), kancelaria, izba chorych, szpital, składy (magazyny) gospodarcze, warsztaty naprawkarskie i budynek krematorium. W Oświęcimiu jest poza tym własny ogród warzywny i gospodarstwo rolne.

Mieszkania więźniów dzielą się na tzw. bloki, każde piętro stanowi blok osobny. Każdy blok dzieli się na „sztuby” (izby). W barakach specjalnie budowanych, jak w Niemczech, blok ma wspólne urządzenia umywalniane i klozety dla swoich sztab, sztaba zaś składa się też z dwóch pomieszczeń, sypialni i jadalni, względnie pokoju „towarzyskiego”. W sypialniach są łóżka (w piętrowych kondygnacjach), w jadalniach stoły i ławy oraz szafki

na rzeczy więźniów (jedna na trzech). To wszystko jednak nie stosuje się do Oświęcimia, gdzie mieszkamy w dawnych koszarach i bloki są pozbawione urządzeń umywalnianych; śpi się najczęściej na siennikach i nie ma żadnych szafek dla więźniów.

*

Niestety, nie mogę opisać wszystkiego jak należy, po porządku, tak jakbym chciał, żeby odtworzyć wiernie wszystkie szczegóły tego życia. Brak mi sił. Leżę w łóżku, żywią mnie, leczą, szprycą przez cały dzień w robocie: glukoza, strychnina czy kamfora – już nie rozróżniam, ale wiem, że gwałtownie pchają we mnie środki nasercowe. Ale z tego, co słyszałem i wyrozumiałem, główną moją niedomogą z obozu jest – prócz wielkiego wyczerpania organizmu – stłuczona czy też uszkodzona przez uderzenie nerka. To powoduje bóle, słabość, rozstrój różnych czynności organizmu. I z tej strony, jak widać, zagraża mi największe niebezpieczeństwo. Stan mój uniemożliwia wydanie większego wysiłku, wysiłku systematycznego, ciągłego. Zabieram się do pisania, a tu słabość, ciemno w oczach, ołówek wysuwa się z ręki... Odkładam pisanie, zabiera mi to matka, pochylając się nade mną z troską, badając puls. No, dobrze, odpocznę – będę spał. Później wzmocnię się, po obiedzie więcej napiszę. No i tak rwie mi się to pisanie przez cały dzień. Dlatego też, z konieczności, zapisy moje są nieco chaotyczne, tyle i tak opiszę, na ile będzie mnie stać...

*

Powracam jeszcze do spania, gdyż w nocy tają się różne udręki. To nie dotyczy już tylko okresu kwarantanny i w Oświęcimiu nie jest z nim związane, tylko zależy od stopnia przepełnienia obozu. Otóż przez rok bez mała, który tam wysiedziałem, zdaje się, w ciągu pięciu miesięcy tylko posiadałem swój siennik do własnego rozporządzenia. Jest to rzecz bardzo zasadnicza, bo w warunkach życia obozowego, wielkiego napięcia i niszczenia nerwów, samotność na wąskim choćby terenie posłania jest kardynalnym warunkiem wypoczynku. Kiedy zaś nawiozą dużo więźniów i następuje przepełnienie w sztubach (ponad 200 do 250 osób w sztubie), wtedy sypiamy na sienniku we dwójkę. Dla ludzi bardzo nerwowych przez to samo sen bywa przekreślony lub też ucięty do kilku zaledwie godzin w ciągu nocy. Nie zaliczałem się bynajmniej przedtem do osobników

szczególnie nerwowych, ale sam doświadczyłem ciężko tej udręki. Bo partner np. kręci się, nie może się ułożyć; albo znów inny chrapie tak przez sen, że niepodobna usnąć; inny zaś ma szczególny sen: wybucha wciąż gadaniem, zrywa się, nagle siada. No i ściąga też koce, którymi się wspólnie na tym sienniku przykrywamy.

Jeszcze gorzej się robi wraz z chłodami, zimną jesienią, pluchą. Wszyscy niemal w pierwszym dniu chłodu przeziębiamy się. Bo aż do mrozów prawie jesteśmy boso i w drelichach, a nawet później, gdy zezwalano na dosyłanie ciepłych rzeczy, na zachowanie własnego obuwia, mało kto miał możliwość zabezpieczyć się od zaziębienia, przemarznięcia i chorób. Otóż powszechną, nagminną chorobą były rozstroje pęcherza i żołądka. Niezależnie od choroby wielka ilość płynów w pożywieniu i częste dawanie ziółek o własności moczopędnej na kolacje, powodują niezwykle ożywienie pracy pęcherza. Nocny ruch z sienników, między siennikami, do ubikacji – to były istne pielgrzymki, trwające właściwie przez całą noc. Jeśli twój partner potrzebował wstawać w nocy, budziłeś się. Nawet nie mogłeś kłąć, bo cóż miał biedak począć? Zresztą gorzej było, jeśli który nie wstawał, a miał pęcherz tak zaziębiony czy chory, że nie kontrolował już oddawania moczu, potrafił, nie budząc się nawet, jak małe dziecko, zalewać wspólny siennik. Na tym tle w każdej sztubie bywały najostrzejsze wymyślenia, kłótnie, bójki, bo nie zawsze przecie poszkodowany partner rozumiał, że taka przykrość jest wynikiem choroby. Ja to rozumiałem, ale gdy mi się zdarzyło kilkanaście razy doświadczyć tego osobiście, przyznaję, że zaciskałem zęby z nierozumnej wściekłości, odczuwanej mimo wszystko do tego biednego człowieka. A sen już w każdym bądź razie był stracony, bo trzeba było jakoś manipulować nieszczęsnym siennikiem, obracać go itp. A poza tym człowiek przewidywał już poranne następstwa tego faktu, gdy podczas sprzątania sienników wpadnie na to kontrola; trzeba było przemyśliwać sposoby zabezpieczenia siebie i nieszczęśliwca od bicia i kary za mokry siennik... Ktoś na wolności, nieznający obozu może sobie myśleć, że to są przecie drobnostki. Ale my tam, w obozie, wiemy, że wraz z nastaniem chłódów, gdy jeszcze na domiar złego przyjdzie natłok ludzki i wypadnie z kim „dzielić łoże”, te „drobnostki” wyrastają do rozmiarów dotkliwej męczarni... Bo człowiek, zamęczony gorzej od najgorszego pociągowego zwierzęcia, potrzebuje koniecznie, jak każde zwierzę, choć kilku godzin zapomnienia i odpoczynku we śnie.

*

Należy teraz powiedzieć parę słów o naszym rozkładzie dnia w obozie. Wstaje się rozmaicie: latem bardzo wcześnie, o godz. 4:00 już budzą. W zimie – około 6:00. Zaraz po wstaniu trzeba sprzątnąć posłanie, dyżurni sprzątają izbę, reszta idzie się myć, potem ubiera i dostajemy śniadanie. Kawę przynoszą do bloków z kuchni w kotłach. Po śniadaniu (a więc między 5:00 a 7:00, zależnie od pory roku) – zbiórka przed blokiem, wymarsz na plac apelu, apel (trwający zasadniczo pół godziny). Po apelu formowanie kolumn roboczych, wymarsz do pracy (przygrywa nam do tego orkiestra, złożona z więźniów!), która trwa od godz. 7:00–8:00 do 11:00–12:00. Powrót na obiad, przed obiadem apel (pół godziny) znów praca od 13:00 do 17:00–18:00; w zimie praca trwa około 8–9 godzin, w lecie 9–10 godzin dziennie. Powrót do obozu, apel (pół godziny), kolacja i spanie. W lecie musimy iść spać o godzinie 20:30, w zimie wcześniej – o 19:45.

IV

Schorzenia internowanych są bardzo różne. W związku z ogromną ilością wszy powstają choroby skórne, jak np. wszawica. Bardzo rozpowszechniona i bardzo udzielająca się jest świerzba, wrzody, ropnie, wywiązują się flegmony na tle osłabienia organizmu i zanieczyszczenia nawet małych ran. Niesłychanie rozpowszechniona jest biegunka i to biegunka krwawa. Powoduje ją m.in. zła woda do picia i wyjadanie brudnych obierzyn od kartofli. Częsty też jest szczególnie rodzaj biegunki na tle nerwowym: sprawia to, że żołądek nie potrafi utrzymać pokarmu dłużej niż kilka minut. Nagminnie też szerzą się w obozie choroby wynikające z przeziębienia (skutek wystawiania na apelach, mycia się bez koszuli na dworze, lichej odzieży) i wszelkie choroby płucne. Zwłaszcza młodych dziesiątkuje gruźlica. Chorują też i na tyfus plamisty. Prócz wrzodów, wynikających ze złej przemiany materii, rozpowszechnione są liczne owrzodzenia na skutek ran od bicia, wrzody na głowie, pozbawionej często nakrycia, no i bardzo też liczne bywają w zimie odmrożenia. Ponieważ w Oświęcimiu, jak w ogóle w obozie, jest lekarz, sanitariusze, izba chorych, szpital – mogą też powstawać na tym tle złudzenia (oczywiście tylko poza granicami obozu!). Otóż trzeba to z naciskiem podkreślić, że żadna opieka lekarska tu nie istnieje. Wszystko jest tylko nikczemną komedią, urągającą ludzkiemu cierpieniu. Prawdopodobnie w pojęciu medycyny nieobozowej cały obóz potrzebował leczenia. Tymczasem pojemność wszystkich budynków szpitalnych była obliczona na liczbę maksimum do 3000 osób. Jeżeli więc porównać do ogólnej liczby w listopadzie-grudniu 1940 roku, stanowiło to zaledwie około 30% całego stanu liczebnego więźniów.

Przed wszystkim bardzo trudno jest dostać się do lekarza, bo wszelkie „władze” blokowe i szpitalne stoją z reguły temu na przeszkodzie. Wolno też udać się do lekarza dopiero wtedy, gdy się ma ponad 38 stopni gorączki. Nie stosują żadnych lekarstw, prócz aspiryny i środków opatrunkowych

(bandaże papierowe). Opatrunki robią sanitariusze, mianowani spośród więźniów; ulegają oni łatwo demoralizacji, lekceważąc chorych i rannych, wysługując się Niemcom i drżąc o swoje żebracze przywileje. Opatrują więc – we trzech lub czterech – w ciągu 1–2 godzin niekiedy do 500 więźniów, traktując ich przy tym jak bydło. Oczywiście lekarz i jego pomocnicy – to już Polacy! – oni również maltretują więźniów. Trudno jest dostać się do izby chorych, gdzie zresztą brud i warunki życia są analogiczne do ogólnych obozowych, tyle tylko, że nie zmuszają do ćwiczeń i pracy, nie zrywają do apelu. Ale jeśli chory, któremu nie uda się trafić do izby chorych, uzyska jednak zwolnienie od pracy (najłatwiejsze do uzyskania jest „Bettruhe”, czyli pozwolenie leżenia w łóżku, na sienniku), to wstawanie na apel obowiązuje go w dalszym ciągu, niezależnie od stanu zdrowia i pogody. Najtrudniej jest trafić do szpitala, zajmującego cały blok, gdzie dopiero jest czysto.